

Małgorzata  
Gutowska-Adamczyk

*Fortuna  
i namiętności*

TOM 2

ZEMSTA

Nasza Księgarnia

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016  
Text © copyright by Małgorzata Gutowska-Adamczyk 2016

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Zdjęcia na okładce:

© robynmac/depositphotos.com

© Scol22 | Dreamstime.com

Konsultacja historyczna *Paweł Tyska*



**G**dyby okoliczności nie przymusiły kata do pośpiesznego opuszczenia Winnicy, nie byłby się on może nigdy dowiedział, czym w owym czasie żyła Rzeczpospolita. Nic go to zresztą nie obchodziło. Niemal całą zimę przeleżał beczynn timer w swej zrujnowanej chałupie, oddając się bezpłodnym dywagacjom dotyczącym spalonej na stosie Klementyny Furtak. Czekał na karę, w ostatniej bowiem chwili życia dziewczka posądzana o czary splunęła na miasto klątwą. Ta zdawała się już powoli wypełniać, dotykając na razie kasztelana Jandźwiłła i jego rodzinę, kat jednak domniemywał, że jako wykonawca wyroku również się nie wywinie. Od egzekucji interesy szły zresztą coraz gorzej, a on sam tracił siły i chęć do działania. Czuł się zrezygnowany, zmęczony, bezwolny.

Wiosna roku pańskiego 1734 właśnie się zaczynała i kat leżałby pewnie aż do lata pogrążony w melancholii, na którą nie znał i nie szukał lekarstwa, ale tuż przed Wielkanocą dowiedział się, że kasztelan szykuje rozprawę przeciwko zbójcy z puszczy winnickiej, Rabińskiemu, i jego ludziom. Chociaż Bartek okradał podróżnych na

polecenie kasztelana, wyrok sądu dawał się łatwo przewidzieć. Perspektywa ścięcia jedynego człowieka, który czasem znalazł dlań dobre słowo, a i w mariasza, zdarzało się, zagrał, była katu do tego stopnia wstrętna, że wyrwał się ze swego wielotygodniowego letargu, wsiadł na konia i ruszył, gdzie oczy poniosą.

Jako że w całym powiecie nikt inny nie mógłby go zastąpić, niebezpiecznie spodziewał się pościgu i niczym ognia unikał głównych traktów. Schwytany najpierw musiałby ściąć zbójców, a zaraz potem bez wątpienia sam pewnie by zawisł na szubienicy albo zdychał powoli z głodu, wtrącony do kasztelańskiego więzienia. Przedzierał się więc kat winnicki lasami ku Prusom. Musiał sam na swój posiłek zapolować, bo gdzieżby jaką karczmę znalazł głęboko w lesie? Gdy kilka razy chybił, zarzucając sznur na zająca, i trzy dni nic w ustach nie miał, gotów był prawie wrócić na trakt i u podróżnych o kawałek chleba jak dziad proszalny żebrać. Wreszcie przemógł wstręt, w pobliżu małego jeziora schwytał parę żab, nadział je na patyk i osmalil byle jak nad pośpiesznie skrzesanym ogniskiem, tym niegodnym jadłem głód zaspokajając.

Co prędzej zdeptał tłące się jeszcze patyki i ruszył dalej. Ale głodny koń pośpieszyć nie był skory. Lazła szkapina noga za nogą, pogryzając wiotkie gałązki, na których ledwie się pierwsze listki pokazywały. Kat miał nadzieję, że ślad leśnych ludzi doprowadzi go do jakiejś osady i może tam zdoła dostać jakiej strawy, a dla konia nieco siana za kilka psich skór, które przezornie do siodła przytroczył. W puszczy towar lepszy od dukatów, bo srebrem głodu nie zaspokoisz. Jechał zatem powoli, wypatrując dymu i nasłuchując nawoływań, ale dookoła panowała cisza zmącona jedynie przez radosny świergot ptasi i szum wiatru w koronach drzew. Wspiął się kat na piaszczyste pagórki,

przecinał młodniaki, krył w cieniu buczyny. Popijał wodę z leśnych strumyków i podążał wciąż przed siebie.

Zmęczony, postanowił wreszcie usiąść pod drzewem, aby odpocząć i dać wytchnienie koniowi. Popatrywał ku rozległej łące porośniętej przez rozkwitające właśnie kępy kaczeńców, wiązówki i niezapominajek. Fruwały nad nimi owady i motyle, roślinność falowała w podmuchach wiatru. Ciszę niespodziewanie zmaćił dobiegający z oddali kobiecy śmiech. Kat zerwał się na równe nogi, powiódł wzrokiem dookoła, nikogo jednak nie spostrzegł. Wytężył słuch, ale przez dłuższą chwilę trwała cisza.

„Przywidziało mi się” – pomyślał i usiadł z powrotem.

Jednak wkrótce śmiech rozbrzmiał ponownie. A potem krzyk kobiecy straszliwy, przerażający, jakby w obliczu skonania. Poderwawszy się, kat zamarł w bezruchu. Ledwie dostrzegalnym gestem sięgnął po przytroczony do pasa nóż. Spięty, gotów do skoku, wyczekiwał. Po chwili znów usłyszał wołanie o pomoc. Nie namyślając się dłużej, ruszył pędem przez łąkę. Nagle poczuł, że trafił na trzęsawisko. Kiedy wyciągnął jedną nogę, druga zapadła się jeszcze głębiej. Rozejrzał się za czymś, czego mógłby się złapać, ale niczego nie dojrzał. Powoli lecz nieodwołalnie zapadał się w grząski grunt. Z błaganiem w oku popatrzył na konia, ale uwiązany do drzewa nie mógł się ruszyć.

Przerażony kat zaczął krzyczeć. Oddałby wszystko za ocalenie, ale czy ktokolwiek go tu usłyszy i pośpieszy na pomoc? Odgłosy w głębi lasu umilkły. Kat zastanawiał się, co też mogło tam zajść? Śmiech, a potem krzyk wskazywały na to, że kobieta nie spodziewała się napaści. Czyżby została zgłodzona przez kogoś, z kim poszła do lasu? A może padła ofiarą rysia lub wilka?

Snując te rozważania, spróbował wyszarpnąć nogę z bagniska, jednak skutek był odwrotny do zamierzonego. Za-

nurzony po kolana, mógł się tylko przyglądać, jak z każdą chwilą bagno nieubłagane wciąga go w mroczną otchłań. Co za ironia losu! Gdyby nie ruszał się z Winnicy, gotów spełniać swe katowskie obowiązki, siedziałby w chałupie, popijając piwo. Gdyby głuchy na wołania nie zerwał się z miejsca i nie rzucił, by ratować ową kobietę, leżałby pod bukiem, jechał przed siebie albo siedział na ławie w jakiej karczmie. Tymczasem nieświadomie uległ odruchowi serca i teraz ma za swoje! Został ukarany. Jeśli nikt się nie zjawi, być może swą dobroć przypłaci życiem! Sparaliżowany strachem, stojąc po uda w zimnej wodzie, bał się nawet głębiej odetchnąć. Rozglądał się jeszcze w desperacji, ale widział tylko odległy las i bagno, które wcześniej wydało mu się łąką.

Czy naprawdę coś wtedy usłyszał? Może to była topielica? Zwabiła go na te bagna, omamała. Czy musiał zajechać tak daleko, aby tu właśnie zakończyć żywot? Bez księdza, pogrzebu, bez grobu?

„Zostanie po mnie tylko koń i te parę psich skór przytroczonych do siodła” – pomyślał.

Dławił go lęk przed śmiercią. Ile to jeszcze potrwa? Jeden? Dwa? Trzy pacierze? Ile mu zostało czasu? Dzień się kończył. Słońce zachodziło z wolna, kąpiąc czubki drzew w złotej poświacie. Koń stał opodal, rżąc i parszcząc, jakby przeczuwał, co się zaraz stanie. Grzebał ziemię nogą i szarpał łbem, chcąc zerwać się z uwięzi.

Kat przypomniał sobie o nożu i doznał ulgi. Przeraziło go utonięcie w błocie. Nigdy się nie zastanawiał, jaki ból towarzyszy umieraniu. Co myśli idący na ścięcie? Czy wieszany zdąży coś poczuć, zanim wyzionie ducha? Jako mistrz sprawiedliwości widział tylko efekt swej pracy: głowę spadającą do kosza, rzucające się w drgawkach ciało na szubienicy, czuł swąd palonej skóry i słyszał ludzki krzyk,

szybko przechodzący w bezsilne charczenie. Podobnie jak gawieź zgromadzona na rynku gapił się na powolne konanie skazańca. Potem razem z chłopakiem sprzątała. Kat przyzwyczał się do torturowania ludzi, do krwi, rzygowin i gówna. Były jego chlebem powszednim, częścią sądowego ceremoniału. Aż do tamtej hardej dziewczki, zbyt dumnej, by prosić o łaskę. Pierwszej, którą chciał uratować. Wzgardziła nim, a swą mękę przyjęła ze złością, obarczając winą całe miasto. Kat nie miał już wątpliwości, że była wiedźmą. On, sprawca jej śmierci, teraz topił się w bagnie. I jego dosięgła zemsta.

Dygocąc z zimna, które przenikało go do szpiku kości, kilkadziesiąt razy wyobraził sobie własną śmierć. Na przemian żegnał się z życiem, krzyczał, płakał, przeklinał, błagał o litość. Wzywał na pomoc ludzi i Boga, któremu obiecywał poprawę, choć nie uważał się za winnego. Zapadła noc i kat zrozumiał, że utopi się w ciemności. To go jeszcze bardziej przerażało. Szczekał zębami i drżał, bezsilny, samotny. Odwracając głowę, popatrywał na konia, jedyne go świadka jego męki i upodlenia. Przemawiał doń jak do człowieka, a zwierzę parskalo niespokojnie. Las rozbrzmiewał dźwiękami nocy. Zza drzew wyłonił się ogromny księżyc w pełni i rozproszył mrok. Odrętwiały kat, który myślami błądził już po tamtej stronie, ocknął się, słysząc tętent kopyt. Znów zaczął krzyczeć i machać rękoma, odzyskując nadzieję na ratunek. Jeźdźców było kilku: trzech, może czterech, nie potrafił ocenić. Usłyszawszy krzyki, podjechali bliżej.

Początkowo go nie zauważyli. Zatrzymali się obok konia i rozglądali zdziwieni.

– Mości panowie, ratujcie w imię Boga! – zawołał kat.

– Gdzieżeś jest, człowiecze?

– Tonę w bagnie, niczym dusza potępiona. Pomóżcie mi, błagam!

Zsiedli z koni i zbliżyli się nieco. Nie rwąc się do pomocy, patrzyli nań jak na jakieś dziwowisko. Widzieli tylko tył jego głowy, którą odwracał to w jedną, to w drugą, aby ich zobaczyć.

– Wyciągnijcie mnie, a wdzięczność dozonną uzyskacie!

– Coś ty za jeden? – krzyknął któryś.

– Jam mieszczanin z Winnicy. W interesach podróżowałem – skłamał kat. – Zlitujcie się, zacni rycerze, nie zostawiajcie mnie na śmierć niechybną bez spowiedzi i rozgrzeszenia!

– I sam tak podróżujesz? Bez chłopaka do posługi? Bez wozów, bez sakw z towarem? – dziwili się.

– Bo mi uciekł, ladaco, zabierając i wóz, i sakwy!

– Pewnieś mu co przeszkrobał! – zaśmiał się jeden z drugim.

– Pomóżcie chrześcijaninowi, na rany Chrystusa, a błogosiawić was będę po wsze czasy i odwdzięczę się, jak potrafię najlepiej! Jam już ukarany, ratujcie choć życie! – załkał.

– Wyciągnąć go! – rzekł najstarszy rangą.

Gdy rzucili mu sznur, kat chwycił z całej siły swój koniec. Po chwili leżał już na ziemi. Mokry, brudny, oblepiony zielskiem. Zziębnięty, oddychał ciężko. Dopiero teraz zobaczyli jego twarz. A jeden z nich zawołał:

– Znam cię, tyś jest kat winnicki!





**Z**drada! – zakrzyknęli pełni oburzenia rajcy gdańscy. – Zdrada! – potoczyło się po zaułkach miasta i niedługo później nie było już innego tematu w dokach, karczmach, sklepach i składach, a także na wałach obronnych, w bogatych kamienicach i ubogich chatach. Wszyscy mówili tylko o zgodzie króla Fryderyka Wilhelma I na transport ciężkich dział rosyjskich przez terytorium Prus. Dopóki oblegająca Gdańsk armia moskiewska takich dział nie miała, ostrzał artyleryjski nie był dla miasta groźny. Z tego powodu jej głównodowodzącemu, hrabiemu Burkhardowi Christophowi von Münnichowi, nie udało się atak na leżący między Gdańskiem a Wisłoujściem Szaniec Letni, co pokazało zasadniczą słabość sił oblegających miasto. Teraz jednak, wobec przychylności króla Prus, który nagle zmienił front, Münnich mógł zdobyć upragnione armaty i przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

– Już je ponoć transportują na holenderskich statkach do Piławy\*. Potem popłyną Zalewem Wiślanym i odnogą

---

\* Miasto i port morski na Mierzei Wiślanej, dziś w granicach Rosji (Bałtysk).

Wisły do Kieżmarku, na Wielkanoc zaś wystrzelają nas jak kaczki! – Złowróżbna nowina niosła się po mieście, docierając również do odzyskującego powoli zdrowie ranego dwukrotnie Jana Jandźwiłła.

Na wiadomość o zdradzie króla Prus Stanisław Leszczyński wpadł w desperację.

– To niemożliwe! Co za podłość! – zachnął się, gdy ambasador francuski, markiz Antoine Félix Monti, przyniósł mu ową przerażającą informację. – Dlaczego wszyscy się od nas odwracają? To przez kardynała Fleury’ego, który od kiedy stałem się teściem króla Francji, nienawidzi mnie i nie kiwnie palcem, aby mi pomóc!

– Wasza wysokość, jest jeszcze sam król... – wyszeptał szczerze zmartwiony Monti. On również widział fiasco swoich wielomiesięcznych działań i trudno mu było zaprzeczać. – Co prawda od kiedy Rosja zdobyła Szaniec Zimowy i przejęła kontrolę na Wiśle, dyplomacja bardzo kuleje. Oddaję korespondencję jakimś chłopom i ufam, że listy dotrą do adresata, pewności jednak nigdy nie ma. Nie wiem zatem, czy Jego Wysokość Ludwik XV, wasz teść, panie, zdaje sobie sprawę z grozy naszego położenia – kłamał Monti.

Stanisław Leszczyński zdawał się go nie słuchać i w zamyśleniu kontynuował rozpoczętą myśl.

– Szwecja też przeszła na stronę Rosji. Będzie się cieszyć z mojego upadku. Turcja ma problem z Persją, nie zaatakuje Rosji od południa, jakem dawniej mniemał. Ale żeby ten nieokrzesany sierżant odrzucił moją prośbę o pomoc?! Chciałem mu dać kawał Pomorza, połączyłby wreszcie Brandenburgię z Prusami, to godny dar, dlaczego się nie zgodził?

– Pomaganie słabszemu nie leży w jego naturze.

– Myślisz, markizie, że czeka na mój koniec?

– Fryderyk Wilhelm nie chce się mieszać w nasze sprawy, póki nie zostanie wyłoniony zwycięzca. Być może już nas spisał na straty, a carowa w imieniu rywala Waszej Miłości obiecała mu więcej, na przykład Kurlandię?

– Nie wspominaj mi o Auguście! Co za podłość! Co za małostkowość! – oburzał się król, a ambasador nie podejmował próżnych prób, by ugasić jego rozgoryczenie. – Jak mógł w ogóle starać się o koronę polską, kiedy szlachta niemal jednogłośnie w moje ją ręce złożyła?!

– I być może ona to właśnie Waszą Królewską Mość uwolni? Zawiąże konfederację i pokona Rosjan? Polacy są bitnym narodem, powstają już tu i ówdzie, aby bronić majestatu. W Krakowskim, na Kurpiach i w Koronie, ponoć też w Prusach Królewskich. Musimy wierzyć! – ambasador pocieszał Leszczyńskiego, choć sam liczył tylko na zbrojną pomoc Francji.

– Mój drogi Monti! Tyleś wysiłku włożył w tę elekcję, a teraz siedzisz tu z mojego powodu niczym więzień.

– Co też Wasza Wysokość! Służyć królowi Polski to dla mnie zaszczyt i szczęście!

– Może w jakichś innych okolicznościach... Choć przyznam, żeś oddany naszej sprawie bardziej niż większość polskich szlachciców. Wydaje im się, że jeśli się pozamykają w domach, to wojna do nich nie dotrze. Ach, wojna, wciąż o niej myślę... Czy naprawdę nie można jej uniknąć? Jak wygrać wojnę bez wojska? Pierwsze, co trzeba by zrobić, to stworzyć armię! Polska nie ma nawet dwudziestu tysięcy żołnierzy, podczas gdy Rosja ma ich trzysta! Prusy więcej niż sto tysięcy! Czy Sas o to zadba?

– Na pewno nie! – żywiłowo zapewnił Monti.

– Polska szlachta, nawet bitna i dzielna, jest niewyszkolona i niedyscyplinowana. Stając na wprost zawodowych żołnierzy, może wygrać chyba tylko przez przypadek.

Wojska potrzeba Polsce! Prawdziwego, zawodowego, dobrze przygotowanego żołnierza! Poniatowski siedzi przy mnie, zamiast armią dowodzić. Sam mu zresztą, głupiec, odebrałem referendarstwo! Dlaczego nikt nie staje w naszej obronie? Czyżby Polska nie miała już w Europie żadnych przyjaciół?

– Mamy jeszcze naszych oddanych gdańszczan... – powiedział w zamyśleniu ambasador.

– Prawda! Nad podziw są wytrwali i godni wszelkich słów pochwały. Ich wierność dla naszego tronu nie ma sobie równych. Kiedy przejeżdżam ulicami tego wspaniałego miasta i widzę jego dzielnych obrońców, w me serce wstępuje nadzieja. Och, gdybyż ktoś ich wreszcie wspomógł!

Podobne rozmowy toczyły się w Radzie Miasta Gdańska, która mimo długotrwałego oblężenia nie zaniechała zabiegów dyplomatycznych u państw morskich: Anglii, Danii, Szwecji oraz Republiki Zjednoczonych Prowincji. Wobec tego ostatniego kraju walutą przetargową byli jego obywatele oraz ich statki uwięzione w oblężonym mieście.

– Komisarz holenderski Bleyswick negocjuje z dowództwem rosyjskim możliwość ewakuacji obcokrajowców z Gdańska. Ma już nawet zgodę na ich bezpieczny wyjazd między dwudziestym siódmym a dwudziestym dziewiątym kwietnia. Pisze nam o tym właśnie porucznik Kieseling, informując jednocześnie, że wkrótce nastąpi wzmożony atak bombowy – rzekł Johann Gottfried von Diesseldorff.

– Właśnie dlatego, Wysoka Rado, nie możemy wyrazić zgody! Póki mamy tu Holendrów i ich statki, Niderlandy będą zabiegać u carowej i o jej odstąpienie od murów Gdańska. Pozwalając na wyjazd ich obywateli, pozbawiamy się ważnego atutu! – twardo stwierdził Gabriel von Boemeln.

– Wyznaczone Holendrom dni wskazują wyraźnie, kiedy może zacząć się kolejny atak. Musimy być gotowi na trzydziestego kwietnia – skonstratował Abraham Groddeck.

– Tymczasem głównodowodzący wojsk rosyjskich Münich zapytuje o możliwość zakupu u nas pewnej ilości wina, korzeni i innych towarów. W zamian oferuje zwrot przechwyconej korespondencji – poinformował zebranych Gottfried Bentzmann.

– Proponuję wystosować list do jego ekscelencji, wyrażający zgodę na tę propozycję – rzekł Johann Gottfried von Diesseldorff, a pozostali trzej burmistrzowie pokiwali głowami z aprobatą.

Podczas gdy Rada Miasta korespondowała z Münichem, Jan Jandźwiłł, mieszkając w oberży Florentyny Groddeck, wracał do zdrowia. Lada moment znów mógł być potrzebny, mówiło się o bliskim już końcu Gdańska, ale wszak zanim to nastąpi, będzie jeszcze wiele okazji, aby odznaczyć się w walce o obronę polskiego króla. Od kiedy Stanisław Leszczyński osobiście się doń pofatygował, dziękując za przejęcie szpiegowskich raportów o sytuacji w mieście, kasztelanic żył jak w uniesieniu. Przekonany, że jego plan wkrótce się spełni i będzie mógł jeszcze bardziej zasłużyć się majestatowi, a tym samym bez udziału i wiedzy ojca osiągnąć cel, jakim było stanowisko na dworze, snuł fantazje o triumfalnym powrocie do Turowa.

Tu, w Gdańsku, cieszył się zasłużoną popularnością. Rozpoznawany podczas spaceru i zapraszany na kufel piwa, nie zdawał sobie sprawy, że o jego sławę zadbała obrotna karczmarka, dla której taki gość był na wagę złota. Klienci przychodzili choćby tylko po to, aby z daleka obejrzyć bohatera. Mimo oblężenia interes się kręcił. Do oberży

zaglądali też, wcześniej tu niewidywani, bogatsi klienci, niektórzy być może z myślą upolowania szlacheckiego zięcia. Florentyna każdemu gotowa była ofiarować swe pośrednictwo. I kto wie, czy wreszcie nie przyłożyłaby ręki do jakiegoś lukratywnego mariażu, gdyby pewnego dnia nie weszła do karczmy młoda Holenderka.

Mogła mieć szesnaście lub siedemnaście lat. Niezbyt urodziwa, ruda i piegowata, ubrana była dość skromnie, w czystą, choć pozbawioną ozdób suknię z szerokimi rękawami i cienki krótki płaszczyk oraz kapelusz. Nieczęsto przychodziły tu dziewczęta, więc zdziwieni goście patrzyli na nią, rozdziawiając gęby, ale ona zdawała się tego nawet nie zauważać. Podeszła wprost do szynkwasu. Mówiła wolno, z twardym, gardłowym akcentem, ale Florentyna ją rozumiała.

– Witajcie, pani! – dygnęła grzecznie. – Czy tu mieszka ten kawaler, o którym mówią, że uratował króla? – spytała po niemiecku.

– A wy co za jedna? – burknęła karczmarka.

Dziewczyna patrzyła na Florentynę z pytającym uśmiechem, jakby czekała na dalszy ciąg.

– Ktoście? I po co szukacie onego kawalera?

– Nazywam się Suzanne van der Dijk, jestem córką kupca korzennego i koniecznie muszę się z nim widzieć!

Karczmarka uważnie się jej przyjrzała. Dobrze jej z oczu patrzyło, jakoś tak szczerze, chyba nie chodziło o ciężę? W takim przypadku dziewczka byłaby raczej skrępowana, chociaż kto je tam wie, te młode teraz za grosz wstydu nie mają. Ciekawa, o cóż chodzi, dopytywała się dalej:

– Powiedzcie, co macie za sprawę, to może mu powtórzę.

I pewnie by coś od niej wyciągnęła, gdyby w tej chwili do oberży nie wszedł Jan.

Florentyna zamilkła na chwilę, a dziewczyna, podążając za jej wzrokiem, odwróciła się.

– To wy? – zapytała nieśmiało. – Wyście uratowali króla?

Jan uśmiechnął się lekko i już miał z wrodzoną skromnością pomniejszyć swoje zasługi, gdy ktoś z głębi karczmy zawołał:

– On, on! A bierz go panna i niech wreszcie koniec będzie tym pielgrzymkom, bo się piwa w spokoju napić nie można!

Towarzystwo zarechotało.

– Wyjdźmy, proszę. Nie zabiorę wam dużo czasu... – powiedziała cicho Holenderka i opuściła wzrok.

Na ulicy rozejrzała się bacznie i rzekła:

– Pochodzę z Antwerpii. Jestem córką kupca. Od stycznia Rada Miasta więzi nas tu jako zakładników i nie godzi się na żadne rozmowy! To okrutne, skoro wasi wrogowie chcą nas wypuścić. My się w tej wojnie nie liczymy. Mój ojciec ze zgrzyoty zachorował. Jeśli nie wrócimy, pewnie tu umrze! Damy wam złoto, przekonajcie króla, żeby pozwolił nam odpłynąć! Już tylko on może nam pomóc, a wy jesteście naszą ostatnią nadzieją! – mówiła szybko, trochę zbyt szybko. Jan, choć przyswoił sobie co nieco niemiecki podczas podróży ze Straszem po Europie, ledwie za nią nadażał. Dziewka chwyciła go nawet za rękę, ale zawstydził się tego gestu i wyciągnął dłoń z jej dłoni.

– Panienko, przecież król mnie nie przyjmie. A nawet jeśli, jak mam to uczynić?

– Dokonałiście już o wiele większej rzeczy. Uratowaliście Gdańsk, uratujcie teraz kilkunastu niewinnych kupców, nigdy wam tego nie zapomnimy!



**D**opóki pułkownik Kondyriew ze swymi ludźmi przebywał w Turowie, nikt nie śmiał zakłócić atmosfery i krzywym spojrzeniem, szeptaniem po kątach czy innym jakim nieestosownym zachowaniem pokazać, że na zamku trwa niewypowiedziana familijna wojna. Oto potężny kasztelan, Tadeusz Jandźwiłł, postanowił dać nauczkę dwojgu ze swych dzieci i za niesubordynację wtrącił ich do ciemnicy, aby cierpiąc niewygody i głód, zrozumieli popełnione błędy, ukorzyli się i swe winy wobec ojca wyznali. Oprócz zapalczywej Cecylii, która pragnęła uciec spod ojcowskiej kurateli, w zamknięciu przebywał również Stanisław, oskarżony o umizgi wobec młodej macochy, do której zapałał gorącą, odwzajemnioną miłością. Kasztelan nie baczył na chorobę syna ani na fakt, że córka dopiero co powiła mu wnuki. Czekał, aż oboje, umęczeni losem skazańców, schylą przed nim kornie czoła i obiecują poprawę. Oni jednak trwali w ślepym uporze i o posłuchanie nie prosili.

Poza tymi dwojgiem w lochu przebywali również Rabiński, zbójca z puszczy winnickiej, oraz Kettler, były



grandmuszkietier króla Augusta II Sasa, niegdysiejszy amant Cecylii. Obaj pomagali jej w ucieczce z zamku, gotowi siłą odbijać jej dwór przez kasztelana podstępem zagarnięty. Na nieszczęście zaufany kasztelana, Wacław Strasz, odkrył intrygę i pokrzyżował plany spiskowców.

Zbójca Rabiński już po raz drugi popadł w niełaskę. Za pierwszym razem, niesłusznie oskarżony przez kasztelanę, prawie żegnał się z życiem, kiedy najniespodziewaniej Strasz nakazał mu wracać do lasu i na podstarościego winnickiego, Kacpra Hadziewicza, zamach uczynić. Wolności posmakowawszy, zbójca z podstarościm się skumał i do konfederacji przeciwko Augustowi III razem z nim zamierzał przystąpić. Ale była zima i zanim się zdążyli wyprawić do Oszmiany, przyszło im kasztelanę z rąk ojca uwolnić. Na tym to szlachetnym, acz nie do końca przemyślanym czynie przyłapani zostali wespół z Kettlerem. Podstarości zdołał się uratować, uwożąc z miejsca bitwy ranną miecznikową Niezgodzką, która również w ucieczce Cecylii brała udział, Rabiński i Kettler zaś, pokonani przez wojsko, osadzeni w lochu czekali na wyrok.

Na szczęście w Turowie po Niedzieli Palmowej zainstalował się rosyjski pułkownik Kondyriew, aby dopilnować przysięgi, którą szlachta miała złożyć na wierność nowemu królowi. Na Litwie bowiem, ale też i w Koronie oraz chociażby pod Gdańskiem, wojsko rosyjskie pilnowało spraw saskich, nie chcąc dopuścić do zwycięstwa Stanisława Leszczyńskiego wspieranego przez Francję. Kasztelan, zajęty sprawami państwowymi, ani mógł, ani chciał zaprzętać sobie teraz głowę drobiazgami. Przyjdzie czas na wymierzenie sprawiedliwości niepokornym dzieciom.

Tymczasem w Grodzie Orłowym trwały przygotowania do konfederacji. Kacper Hadziewicz liczył dni do wyjazdu

i tylko żał mu się było rozstawać z Zofią Niezgodzką, która dopiero co obiecała wyjść za niego za mąż. Ta myśl słodka psuła podstarościemu radość z planowanej wyprawy pod Oszmianę, bo choć miał pewność, że wróci, powstanie przeciwko Augustowi III mogło jakiś czas potrwać.

– Przybył posłaniec z Turowa – zameldował Witek. – Ale coś mi się on nie widzi.

– Czemuż to? – spytał podstarości.

– Bo sam jest i pieszo.

– To niegroźny, wpuść go.

I rzeczywiście. Do świetlicy Hadziewiczowego dworu, z dawien dawna zwanego Grodem Orłowym, co niezmienną dumą napawało jego właścicieli, wszedł sługa zbyt nikczemnej postury i za młody wiekiem, aby go można było uznać za posłańca kasztelańskiego.

– Ktoś ty? – surowo zapytał podstarości.

– Jam z lochu strażnik.

– Kto cię przysyła?

– Kazał rzec, że zwie się Rabiński.

– Toś na usługach więźnia? Nie lękasz się kasztelana?

– Półzegarze\* mi obiecał wiele warte, jeśli wieść od waszmości przywiozę, a i choć słowo jedno.

– A co tam u was na zamku słychać?

– Uczty przez dzień cały, ale nam, strażnikom, niewiele się dostaje.

– A więźniom pewno jeszcze mniej! – mruknął Witek, budząc zdziwienie przybysza.

– Toż w lochu siedzą, nie w gospodzie!

– Słusznie, słusznie! – Hadziewicz zdusił w zarodku rozdającą się sprzeczkę. – Powiedz no mi... Jak cię zwać?

---

\* Zegarek z dwunastoma cyframi. Ówczesnie funkcjonowały również zegary z dwudziestoma czterema cyframi.

- Prot, jaśnie panie.
- Powiedz no mi, Procie, co też ten Rabiński dokładnie mówił?
- Jakieś ci głupoty, panie. Coś jakby „Spędzić owce do zagrody i Zmartwychwstania czekać”.
- To rozsądne całkiem. A ty jakieś zamek opuścił?
- Bramą, jaśnie panie.
- Macie go! – fuknął Witek. – Czy cię kto nie pytał, dokąd idziesz?! – wyjaśnił sens pytania.
- Co miał pytać? Czasem mnie bramny do karczmy po tabakę wysyła, tom poczekał na rozkaz i jestem.
- Sprytnyś! Wracaj do zamku. Powtórz Rabińskiemu, że owiec przypilnujemy, a tu masz trzy grosze za fatygę. Tylko zmilczeć musisz, żeś nas odwiedził! – zastrzegł podstarości.
- Chłopak kiwnął głową i rozdziawiwszy gębę, patrzył w swą dłoń, jakby nigdy tak wielkich pieniędzy nie widział.
- Przyjdzie gdzie zaszyć, bo kto skradnie albo inaczej przetracę – mruknął do siebie.
- A dobrze się sprawisz, język za zębami trzymał będziesz, to drugie tyle dostaniesz! I może za giermka cię najmę – namawiał go Hadziewicz.
- Panie mój! – zaprotestował Witek.
- Zdałby się nam taki sprytny chłopak. Służba u mnie to nie gnicie w lochu, konia byś dostał i nowy przyodziewek... – ciągnął podstarości, a Prot z otwartymi ustami słuchał tych cudów.
- Panie... Jam gotów służbę na zamku z miejsca porzucić!
- Teraz to musisz wrócić po swoje półzegarze. I tam się nam bardziej przydasz. Jeśli co Rabiński powie, śmigaj do nas niczym strzała, a za każdym razem trzy grosze w rękę ci wpadnie. Wracaj już, bo zmiarkują, żeś gdzie przepadł.

Chłopak uklonił się i zawrócił na pięcie, a Kacper Hadziewicz, zadowolony, strzelił dłonią po udzie i zaśmiał się do swych myśli.

Kettler zdrewniał w niewygodnej pozycji. Kiszki już mu zaczęły donośnie grać marsza. Ciężki, mokry zaduch wisiał w powietrzu. Od grubych murów wionęło wilgocią. Kettler pociągnął nosem, odkręcił się i zobaczył Rabińskiego na kolanach.

– A co? – stęknął pogardliwie.

– Modłę się.

– Pomódl się i za mnie, bo już nam niewiele życia zostało – rzekł kwaśno i wstał, prostując kości.

Z korytarza dał się słyszeć odgłos kroków, szcęk łańcucha i klucza w zamku, nieomylny sygnał, że strażnik zaraz im poda miskę z kaszą. Chwilę później drzwi celi otworzyły się. Mrok rozproszył nieco ogarek świecy.

– No, zuchy! Chwalcie imię Pana! – zakrzyknął strażnik i od chłopaka, który za nim podązał, wziął dwie miski, na dnie których leżała garść nieokraszonego pęczaku.

– Jaki dziś dzień, kamracie? – zapytał Kettler, brudnymi rękoma wpychając sobie kaszę do ust.

– Wielki Czwartek, a bo co?

– To jutro śledź by się zdał i trochę cebuli dla uczczenia Męki Pańskiej – żując, wymamrotał grandmuszkieter.

– Na was to i tej kaszy szkoda. Godziłoby się trochę postu zaznać przed obwieszeniem. I żałować za grzechy. – Postawił miskę Rabińskiego na ziemi i pchnął nogą w jego kierunku.

Zbójca zrobił znak krzyża i wstał z kolan. Mlaskanie Kettlera nie dawało mu się skupić.

– A skąd pewność, że nas obwieszają? – zapytał butnie.

– Bo na ścieście toście po mojemu zbyt niskiego stanu.

– Powiedz kasztelanowi, że my nie poganie i przy Wielkanocy chcemy przyjąć komunię! – zażądał Bartek.

– Jeszcze bym miał w takiej chwili głowę kasztelana waszymi majakami zaprzętać! Siedzicie, jak wam dobrze, a spowiadajcie się choćby i diabłu samemu! Przyjdzie do was ksiądz przed egzekucją, to wam gwarantuję! – fuknął rozzłoszczony strażnik.

– Poślij kogo po księdza, bo nasze grzechy na twoje sumienie spadną! – obstawał przy swoim Rabiński.

Strażnik rzucił kilka przekleństw i wyszedł z lochu. Chłopak zabrał świecę, a cela znów pogrążyła się w ciemnościach. Rabiński usiadł na słomie, drapiąc się po głowie, którą bez żadnego zmiłowania oblażyły wszy. Kettler podsunął mu miskę, ale zbójca nawet się nie poruszył.

– Nie głodnyś?

– Chłopak nie wraca – rzucił pozornie bez związku. – Czyżby podstarościego nie zastał?

– Może on już za nas karku nadstawiać nie ma ochoty?  
– smętnie wymamrotał Kettler.

---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [wnk@wnk.com.pl](mailto:wnk@wnk.com.pl)

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: [sklep.wysylkowy@wnk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@wnk.com.pl)

**[www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)**

---

*Książkę wydrukowano na papierze  
Creamy 60 g/m<sup>2</sup> wol. 2,0.*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*  
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*  
Redakcja *Anna Sidorek*  
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*  
Korekta *Magda Szroeder*

ISBN 978-83-10-12872-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016 r.  
Wydanie pierwsze  
Druk: POZKAL, Inowrocław